

# Interversum

fragment

Kiedy zaczęła się Gra - nie pamiętał. Kiedy pierwszy raz przegrał, kiedy pierwszy raz wygrał - nie pamiętał, nie pamiętał, leżało to poza granicami zagospodarowanych ziem jego pamięci.

Znał natomiast doskonale datę początku swego świadomego uczestnictwa w Grze. Miał wówczas siedem lat i wygrał skomplikowane złamanie nogi.

Rodzice się rozwodzili. Stan ten utrzymywał się był już od półtora roku: ani nie mogli się pogodzić, ani zdobyć na faktyczny rozwód. Rozwód stanowił fakt psychologiczny, pojawiał się podczas ich pojedynków w co trzecim zdaniu i za co drugą myślą, bezsennymi nocami Gracz widział go, pochylającego się przez sufit mieszkania i sięgającego kościstymi rękoma po matkę, ojca i jego samego, uśmiechał się przeprasząc, dusząc ich śpiących, miał twarz marmurowego Juliusza Cezara.

Brat matki, który był księdzem, zabierał czasami Gracza na dzień czy dwa, żeby rodzice mogli się potorturować w spokoju. W wakacje wyjeżdżali razem na oazy, on i wuj.

Pewnego lata Gracz doszedł do wniosku, że nie ma piekła.

- To głupie - oznajmił wujowi - takie piekło. Nie ma świętego Mikołaja, nie ma piekła.

Wuj się zirytował; zaczął coś szybko tłumaczyć o braku nadziei i oddaleniu od Boga, ale zaraz się zreflektował, westchnął i tylko potargał dziecku włosy.

- Kiedyś się przekonasz - mruknął. - Każdy twój czyn jest zapamiętany, oceniany, ważony. Nawet ci, co twierdzą, że nie wierzą w Boga, boją się, gdy bilans przechyla się znacząco pod ciężarem złych uczynków. Czego się boją, jeśli żadnego piekła nie ma?

Że ich do więzienia wsadzą, pomyślał Gracz. Że się ludzie zemszą.

Ale potem w oazowej kuchni napluł swemu grupowemu rywalowi do zupy i zrozumiał, iż coś tu się kryje pod klockowatymi słowy. Nikt nie widział go plującego, nikt niczego się nie domyślał, nawet sama ofiara. A jednak Gracz przez cały dzień oczekiwał na jakiś rykoszet.

Czy śnieżnoskrzydli aniołowie śledzą go krok w krok, notując w wielkich księgach każdy grzeszek? Czy to splunięcie przybliżyło go o dwie stacje do piekła?

Wyobraźnia trzeszczała w szwach, tandetna operowość proponowanego przedstawienia nie dawała się pomieścić w umyśle Gracza, który już wtedy, gdy miał sześć, siedem lat, wyczulony był na wszelkie zakłócenia proporcji, pęknięcia symetrii, fałsz odbić.

Aniołowie, piekło, sąd, nawet osobowy Bóg - ich dziedzina zawierała się z kolei w dziedzinie sztuki, luźnych imaginacji, telewizji, komiksu i bajki; świat realny różnił się od nich nawet ziarnistością obrazu, fakturą prawdy, nazbyt był chropowaty w dotyku.

Niepokój jednak pozostawał.

Nazajutrz zbłądził się Gracz przed całą grupą, omal się topiąc w rzecznej płyciźnie, pochwycony za łydki przez jakieś zielsko - wrzeszczał, chlapał, szlochał przerażony, inne dzieci patrzyły. Opiekun wyciągnął go na brzeg, plującego wodą, zapłakanego. Gracz pragnął za wszelką cenę uciec im z oczu. Jeszcze wieczorem śmiali się i parodiowali jego wodną szamotaninę.

Zasypiał z obrazem tego talerza gorącej zupy pod powiekami.

Wróciwszy do domu, do matki, ojca i ich rozwodu, postanowił czym prędzej wykorzystać zdobytą wiedzę. Zaraz jednak spostrzegł się, iż po prawdzie nie bardzo ma pojęcie, co konkretnie winien zrobić. Nie znał zasad tej Gry; że jakaś się toczy - przeczuwał (na tym poziomie się to odbywało, przeczuć, taka była ta wiedza), ale zasad nie znał.

Był jednak dzieckiem, był dzieckiem ponad wszystko inne, i z definicji żył w świecie o nieznanym

zasadach. Poruszał się tu już z niejaką wprawą, po reakcjach otoczenia wnioskuje podświadomie o naciśniętej regule - czy dotyczyła ona prawa, czy obyczaju (jego głównie), czy jakichkolwiek innych dziedzin życia. Toteż długo się nie zastanawiał. Gra nauczy go sama siebie.

Przez dwa tygodnie ani razu nie skłamał, nie sprzeciwił się wydawanym poleceniom, nie ociągał z ich wykonaniem, nie zaniedbywał obowiązków, sprzątał po sobie, mył zęby, kłaniał się sąsiadom, nawet przez jezdnię przechodził tylko na zielonym i kładł się spać o godzinie.

Gra była jednak bardziej skomplikowana, niż się spodziewał: piątkowego wieczoru pobili go pod szkołą czwartoklasiści.

Zmienił zatem taktykę. (Wszystko to było jeszcze tak prostackie; widzi to teraz w retrospekcji). Zmienił jak mógł - to znaczy radykalnie. Nie były to lata wielkich subtelności.

Czwartoklasiści pokazali mu ścieżkę. Brzdące bawiące się pod klatkami bloku pozostawały na dworze od powrotu z przedszkola do zapadnięcia ciemności, kiedy to matki wywoływały je po imieniu, krzycząc z wysokich okien w chłodną ciszę osiedla. Czasami jednak jeszcze w nocy mogłeś napotkać jakiegoś zapomnianego malucha, jak dłubie patykiem w ziemi pod rachitycznym drzewem betonowego ogrodu albo huśta się bezmyślnie na krzywym trzepaku. Gracz ściągnął go z trzepaka, zawlókł za najbliższy samochód i skopał porządnie. Żeby nie krzyczał, wcisnął mu twarz w piach. Pozycja była więc niewygodna i dwa razy się przewrócił. Na klatce, na schodach, otrzepał spodnie i kurtkę. Oświetlenie było tam jednak nędzne (wciąż kradli żarówki) i przeoczył krew na trampkach.

Przypomniał sobie o niej - a było to niczym trzask mentalnego flesza, przeświecenie ciemnego przedtem odłamka pamięci - przypomniał sobie dopiero w środku nocy, przebudzony z zaraz wygasłego snu. Buty! Buty! Dyszał w ciemności, spocone dłonie drapały boleśnie wtem szorstką poszwę. Wślepiął się w mrok, coś złego działo się z perspektywą, gotów był dać sobie głowę uciąć, że ściany - na których geometrycznymi wycinkami płonęły światła latarni - zbliżyły się do jego oczu na kilkanaście centymetrów. Ale znowuż gdy wyciągał przed się drżącą rękę i patrzył na jej palce (patrzył jak drżą) - wtedy wzrok zapewniał go, iż odległość do tych palców wynosi dwa metry, jeśli nie więcej. Absurdalna optyka strachu zdołała go na tyle zafascynować, że przez kilka minut nie myślał o trampkach; zaraz jednak wróciły, dosłownie ociekające krwią.

Wstał. Cisza. Szedł bosy, beton i PCV nie skrzypi, poprzedzały go huragany gorącego oddechu. Buty stały w przedpokoju. Zabrał je do łazienki. Światło zapalał tak długo, że omal zmartwiały mu palce: naciskał kontakt milimetr po milimetrze, ale dźwięku nie da się wytłumić poprzez rozciągnięcie w czasie - trzasnęło na całe mieszkanie. Znowu stał w bezruchu kilka minut, zanim otworzył drzwi. Klamka, zawiasy, klamka. Już go bolały mięśnie. Zamknął się w łazience i dopiero wtedy odetchnął.

Woda byłaby za głośna - pluł więc na szmatkę i ścierał gwałtownie czarne smugi.

Następnego dnia złamał sobie nogę. Ktoś go potrącił na schodach w szkole. Gracz stoczył się na półpiętro i przewinął przez balustradę (był tłok, jak zawsze na przerwach, gdy całe klasy pędzą na złamanie karku z sali do sali). Spadł, trzasnęło, zemdlął z bólu.

Skomplikowane złamanie kości udowej. Kilkanaście tygodni w gipsie.

Ktoś musiał zostać przy nim w domu. Momentalnie wybuchła straszna awantura, kto. Klęli jak szewcy. Gracz drapał się pod gipsem i słuchał. Każde automatycznie przyjęło strategię męczennika i zrobiła się z tego tak potworna pyskowa, że ojciec aż zachrypl.

Nazajutrz okazało się, iż w tym zacierzewieniu, w złośliwym masochistycznym zacięciu - wzięli urlopy oboje. Tak zatem doszło do długich milczących debat rodziców nad monstrualnym gipsem Gracza. Wychodzili do kuchni i stamtąd słyszał czarną ciszę. Płynęła olejnymi rozlewiskami, ueee, śliska ohyda nienawiści.

Gracz leżał w łóżku, czytał zaległe lektury, radio grało mu do ucha aktualne przeboje, noga swędziała potwornie. Tak przez dzień, dwa, trzy. Czwartego nastąpiła zmiana. Jakby przeważało zmęczenie - pękła

napięta dotąd między ojcem a matką struna. Nagle wielki luz: swoboda ruchów, spojrzeń, słów, min. Nie, żeby się od razu do siebie uśmiechali, żeby wybuchali wtem bujną miłością - ale zniknęła gdzieś ta straszliwa cisza (przyczajona nawet za głośnymi wrzaskami), cisza, dziewiąty pasażer „Nostromo”, kleszcz napuchły purpurowo złą krwią.

Gracz, oczywiście, nie pojmował tkwiących za tym wszystkim mechanizmów psychologicznych; nie był przecież dla niego ojciec mężczyzną, ani tym bardziej matka - kobietą. Próbował przeniknąć zasady Gry. Opornie mu to szło. A niewiele więcej miał do roboty, kiedy tak leżał unieruchomiony w skłębionej pościeli, zawsze albo spocony, albo drżący z urojonego chłodu.

Zwłaszcza popołudniami, to była pora niepewności i zwątpień (wbrew pozorom bowiem w nocy Gra wydawała mu się omal zrozumiała), popołudniami roztrząsał w myśli zaszłe wypadki, doszukując się w nich coraz bardziej skomplikowanych wzorów.

Odwiedził go wuj.

- A co z niemowlętami? - zapytał go Gracz. - Jeśli człowiek umiera tuż po narodzinach. Co z nim?

- Idzie do nieba - ratował się standardowym uproszczeniem wujek, z lekka zaskoczony.

- Dlaczego? Jedynie dlatego, że nie miał jeszcze okazji nagrzeszyć? Gdyby Stalin umarł niemowlęciem, też poszedłby do nieba?

- Ależ łamięłówki wymyślasz, nie masz co robić, czekaj, przyniosę ci książki...

Taak, Gra była bez wątpienia znacznie bardziej skomplikowana.

Kiedyś odkrywał w ten sposób granice wulgarności w języku. (Jeszcze wcale nie tak dawno temu). Teraz wymacywał w ciemności masywną bryłę Gry.

W trzecim tygodniu gipsu wymyślił następny cel: pieniądze. Chciał mieć między innymi rower - rodzicom zawsze brakowało, nawet nie bardzo miał śmiałość nalegać, wiedział, że by się tym ośmieszył, jeśli nie w ich, to we własnych oczach. Ale - pieniądze...! Gdy tylko pomyślał, od razu zaczął pożądać. (Sztucznie wyindukowane marzenie). Trzeba wykorzystać Grę; na tym wszak polega - na wykorzystywaniu. Czyż nie?

Sposób nasunął mu się w pierwszym skojarzeniu: toto-lotek. Jeden zakład tygodniowo, to nie wyjdzie drogo; poprosi rodziców, będą mu posyłać.

Po krótkim zastanowieniu uznał, że liczby nie mają znaczenia. Co zatem ma? Tu zaczynały się ciemne sztuczki Gry.

Do najoczywistszego rozwiązania podchodził z największą podejrzliwością. Jakże wielka musiałaby być ta przewaga sumy dobrych uczynków? Wszak tylu ludzi gra na loteriach... Nie, nie o to tu idzie. Zatem o co?

Rozważał rzecz tak często, tak obsesyjnie, że drogi, jakimi tu docierał do swych wniosków, plątały mu się w retrospekcjach, nakładały jedna na drugą, w końcu już nie wiedział, skąd wzięło się w nim dane przekonanie, pozostawała ślepa wiara, że to jedyna odpowiednia droga. A raczej nie wiara, nie, w istocie coś w jego przekonaniu zupełnie odmiennego: coś na kształt estetycznego przecucia, osobliwego zmysłu symetrii. Im bardziej swędziała go noga, tym głębiej zapadał w mroczne spirale krzywych skojarzeń. Jakoś sprzęgły się w nim obie masochistyczne przyjemności: darcie paznokciami skóry pod gipsem oraz licytacja w Grze.

Tylko pod pewnym kątem widziany obraz oddaje w pełni harmonię swej kompozycji. Gracz zważył szczęście i nieszczęście i rzucił kośćmi. Przestał walczyć z irytującym pieczeniem ogipsowanej skóry. Nie jadł tego, co mu najbardziej smakowało - choć rodzice starali się mu dogodzić jak nigdy i wyraźnie się dziwili; jadł i pił rzeczy jedynie co najmniej nieprzyjemne w smaku. Pilnował się, by nie oglądać telewizji, a już na pewno - filmów i programów, które pragnął być obejrzeć. Na co miał ochotę - tego sobie tym mocniej odmawiał. Gdy chciał skłamać, mówił prawdę; gdy chciał rzec prawdę - łgał. W każdej rozmowie stawiał się w jak najgorszym świetle. Był z natury skryty i chował przed światem wiele

wstydlivych sekretów; teraz je ujawniał po kolei, od najboleńszych poczynając.

Podszluchał rozmowę rodziców: zastanawiali się, czy nie zasięgnąć porady psychologa. (To był akurat czas, gdy psychologia zaczynała wchodzić w modę). Przyznał im się, że podsłuchiwał. Powiedział, że nie potrzebuje psychologa. Nic mu nie jest. Ponieważ to też był sekret, i też groźny, i też bał się Gracz jego ujawnienia - opowiedział im o Grze. Opowiedział im o brzdącu spod trzepaka i o butach.

Zaczynał już podejrzewać, że cena może się okazać nazbyt wysoka, ale w tym tygodniu trafił czwórkę. Wygrana nie była wielka - lecz stanowiła pierwszą oznakę zyskiwanej przewagi. Zresztą to już w coraz mniejszym stopniu szło o pieniądze i ten rower. Jak Syzyf, któremu głaz się wymyka u szczytu - Gracz przegranej po prostu już by nie zniósł. Nie mógł odpuścić.

Matka się sprzeciwiła dalszemu hazardowi: ani ona, ani ojciec nie będą już dla Gracza posyłać kuponów; to jest chore, gdy tylko noga się zrośnie, pójdzie do psychologa. Zaczął zatem wykorzystywać kolegów z klasy, odwiedzających go weekendami z zeszytami do przepisania. Gra toczyła się nadal.

Odwiedził go także wuj. (Zapewne zadzwonili po niego).

- Próbujesz się targować z Panem Bogiem?

Normalnie Gracz wybrałby łagodną spiralę banałów, ale ponieważ Grał, odparł zgodnie z niebezpieczną prawdą.

- Ja nie wiem, czy to Bóg. Nie wiem, czy istnieje.

- Nie wierzysz w Niego? - spytał ksiądz, który już nie mierzwił mu włosów i nie uśmiechał się porozumiewawczo.

- W ogóle nie rozumiem. Co to znaczy. Albo wiem, albo nie wiem. Albo podejrzewam, przeczuwam, a nie jestem pewien. Wiem, że mnie noga swędzi. Wiem, że jest piątek. Nie wiem, czy wygram. Nie wiem, która godzina, ale dowiem się, jak popatrzę na zegarek. Przypuszczam, że znowu będzie padać. Przeczuję, że jesteś na mnie zły. A w co wierzę? Ja nie rozumiem.

- Nie wierzysz, że mama i tata i ja chcemy dla ciebie jak najlepiej?

- To wiem.

- Nie wierzysz, że wyleczysz się z tego złamania?

- Na to mam nadzieję.

- Nie masz nadziei na istnienie Boga?

- Ty masz?

- Ja wierzę. Ja wiem.

- Wiesz?

- Nie mogę się oprzeć. - Wuj nacisnął z góry płasko ułożoną dłoń, jakby gniótł blok twardego powietrza. - Prześwietla mnie. Nawet wąpiący czasami czują. Nigdy się nie wahasz w swojej niewierze?

- Ale to przecież nie jest tak, że ja wierzę w Jego nieistnienie...! Ja nie wiem.

- Ja też przez lata nie wiedziałem. Ale wierzyłem. Nawet teraz ta wiedza nie byłaby możliwa bez wiary.

- Nie rozumiem takiej wiedzy. Nie rozumiem takiej wiary.

- A musisz rozumieć?

- A jakże inaczej?

- Słyszałeś o Einsteinie?

- Jasne.

- Wiesz, kim on był?

- Fizykiem. Genialnym.

- Skąd wiesz, że genialnym?

- Poodkrywał jakieś wielkie prawa.

- Rozumiesz te prawa? Rozumiesz naturę tych odkryć? Więc skąd wiesz, że był genialny?

- Wszyscy to wiedzą.
- Wierzysz zatem, że mówią o nim prawdę. Wierzysz, że ja mówię prawdę?
- Nie wiem. Ja...
- Wierzysz, że mówię prawdę? Posłuchaj mnie: Bóg jest.

Gracz wił się pod spojrzeniem wuja jak przypiekany.

- Możliwe - mruknął.

Wuj westchnął, odchylił się na krześle do tyłu, założył nogę na nogę. Nie patrzył już na Gracza, krążył spojrzeniem powyżej.

- Czasami przewlekłe choroby - zaczął - przeważnie ludzie starsi, gdy nazbyt długo żyją z bólem... Jest taki moment... Uzależniają się od niego. Coś pęka i przekroczony zostaje próg, przeskakują zwrotnice w mózgu. Ból zaczyna cię koić. Jest ciepły, otula cię, chroni od świata, od wszystkiego, co nie jest bólem. Oddajesz mu się cały. Nawet ciało jest jakby zadowolone. Rodzi się lęk przed zmianą stanu, końcem bólu. Ból daje bezpieczeństwo, spokój, uwalnia cię od czasu. Stanowi jedyną kategorię, opisuje więc również przyjemność. Jeśli chcesz doświadczyć ułomnego substytutu tego przejścia, chwyć kiedyś gołymi palcami szklankę z wrzątkiem. Nie u dołu, ale z góry, tak, że gorąco podchodzić będzie stopniowo. Najpierw się sparzysz. Po dwóch-trzech sekundach przestaniesz odczuwać temperaturę, zostanie ból palców. Jeśli teraz nie odejmiesz dłoni i utrzymasz szklankę przez dalsze kilkanaście sekund - a nie każdy to potrafi - poznasz pierwszy cień owej przyjemności.

- Mnie noga już prawie w ogóle nie boli - burknął Gracz.

- Nie miałem na myśli nogi - rzekł wujek.

Obsesja rosła. Już zgoła fizycznie czuł wychylanie się szal. Ostatnio pod choinkę dostał był zegarek, bardzo elegancki, z siedmioma wskazówkami na trzech tarczach, koledzy zazdrościli. Któregoś ranka rzucił go na podłogę i zmiażdżył gipsem.

Gracz to czuł, czuł wyraźnie. Jakby stał przy otwartym na oścież oknie, a orzeźwiający wiatr spod zachodzącego słońca wiał mu prosto w płuca. Lekkość, wielkie upojenie, ciało karmi się pejzażem. Przestał się odzywać. Przestał czytać. Już nawet nie pamiętał o rowerze i nie bardzo czekał losowań.

Wtedy nastąpiło owo przejście, o którym opowiadał był wujek. Gracz zatracił ostrość rozróżnienia szczęścia i nieszczęścia i zachwiał się na osi. W którą stronę wiatr wieje? To, co odpychało, przyciągało; to, co przyciągało, odpychało. Rankiem zajadał się ulubionymi surowymi marchewkami, by wieczorem pościć w jadle i słowach. Noc zastawała go w połowie transformacji, ni to dziecko, ni wampir. Zastygał, niczym na zbyt wcześnie wykonanej fotografii: w drodze do pozy. Nawet sny miał jakiegoś takie niedośnione, roztopiona plastelina nadziei i lęków. I co właściwie mu się śniło... Zasypiał jakby mdła: głowa ciężka od krwi, upadek w gorąc, kończyny bezwładne. Łuuumm. I długa ciemność. Rankiem mówili mu, że krzyczy przez sen.

Któregoś razu matka aż się rozplakała.

- O co ci chodzi, co ty robisz, co znowu sobie ubzdurałeś, chcesz ten rower, dobrze, załatwimy jakoś, no odezwij się, co z tobą, proszę cię.

- Ale znowu nie był pewien, czy cieszą go te lzy, czy też sprawiają mu przykrość. W którą stronę wyciągnąć rękę. Po co. Ku czemu. Przez co. Natłok sprzecznych interpretacji.

Dwa dni po zdjęciu gipsu trafił szóstkę. Nazajutrz zapadł na ciężkie zapalenie opon mózgowych. Ze śpiączki wyszedł po trzech miesiącach.

•

Potem się zakochał.

Potem, to znaczy ponad dziesięć lat później - ale w retrospekcji to jest następna scena; cięcie

i - potem: desperacka miłość. Pamięć zawsze daje jakieś wzory, pamięta się w kontekstach i ciągach czasowych, podczas gdy na żywo odbieramy jedynie chaos. Schemat pamięci Gracza ustalił się mu w wieku lat siedmiu i kiedy teraz wspomina tamto zauroczenie, stanowi ono otwierający gambit sekretnej ofensywy wszechświata.

Zdecydowanie nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Po prawdzie samo słowo też przyszło dopiero *post factum*. Widywał ją w sklepie, na ulicy, w autobusie; mieszkała gdzieś na osiedlu. Być może nawet rozmawiali ze sobą, zanim jeszcze naprawdę zwrócił na nią uwagę - tak być mogło, tego nie pamiętał.

Pierwsze wrażenia były powierzchowne, głównie o seksualnych konotacjach. Miała włosy jak jęzor czarnego oleju i nawet przelotnie spojrzawszy, widział w wyobraźni tę aureolę nocy rozlaną na białej poduszce, ręka sama się wyciągała. Ale to oczywiście nie była miłość, podówczas każda kobieta mogła wyładować w jego erotycznych fantazjach, nie stanowiło to żadnego wyróżnika.

Ni z tego, ni z owego zaczął jednak tęsknić za jej widokiem, za jej otwartym spojrzeniem, w którym mógłby się z pochyloną głową zanurzyć, za świadomością, że ona jest świadoma jego obecności. Łapał się na tym, iż, znalazłszy się w miejscu, w którym raz był ją już spotkał, szuka jej wzrokiem. To go irytowało; i irytowało, że irytuje.

Tęsknota kumulowała się całymi miesiącami, toteż nie zdawał sobie sprawy z procesu, analiza w czasie rzeczywistym wiodła jeno ku konfuzji. Ktoś inny na jego miejscu przemyślałby rzecz i zastosował jakąś strategię flirtu: wyszedłby ją, dowiedziałby się, gdzie mieszka, jak się nazywa, kim właściwie jest. Ale nie Gracz. Gracz na miejscu Gracza nie zrobił tego, obca mu była sztuka podrywu, miał owe szkolne gierki w głębokiej pogardzie; widział jasno całą śmieszność i żalną infantylność manewrów wykonywanych przez swych rówieśników i nigdy by się do nich nie zniżył.

Zresztą tak czy owak nie było to możliwe. Rozpoznał bowiem pragnienie i przypomniał sobie swą absurdalną żądę pieniędzy sprzed lat; ukryte symetrie losu znów do niego przemówiły, jak czasami działo się to na przykład przed wyjątkowo ważnymi klasówkami. Nie wykonał zatem najmniejszego ruchu.

Nie dążył do kontaktu; ale i nie unikał. Z taką samą częstotliwością, co przedtem, widywał ją na ulicy, tak samo często (czyli rzadko) spotykał się z nią w autobusie, z tą samą przypadkowością krzyżował z jej swoje spojrzenia. Nie odzywał się. Nie gapił. Nie dawał sygnałów. Nawet nie myślał - przymuszał swe myśli, by spadały wówczas w błoto, pełzały tuż ponad betonem, by nie odbiegały od jego butów dalej niż na metr. Wiedział, że Gra jest niebezpieczna, a reguły przewrotne.

Tak to trwało od jesieni do wiosny. W kwietniu wszechświat uderzył.

Gracz jeździł podówczas na weekendy do swego ojca, który przeprowadził się był do miasta oddalonego o ponad sto kilometrów. (Cztery lata wcześniej rodzice się w końcu rozwiedli; ojciec dostał w tamtym mieście wysoko płatną pracę). Wracał Gracz wieczornymi, nocnymi pociągami. Wtedy się to zdarzyło; tak pamiętał.

W trakcie podróży z miasta do miasta, w topograficznym nigdzie; półtorej godziny wyjęte z życia. Czasami spał, czasami czytał, czasami grzął w powolnych myślach, przewalających się wielorybio z boku na bok w rytm stukotu kół pociągu. Już wieczór, już noc: za oknami gładki monolit ciemności, ugięcie przestrzeni. Na tej trasie i o tej porze wagon zazwyczaj jest pusty. Tym razem podobnie: wydobywszy się desperackim szarpnięciem z malarycznego półsnu, skonstatował zimną pustkę w jasno oświetlonym wagonie.

Ale zaraz doszły go przemieszane głosy niewidocznych kobiet. Trzy, cztery dziewczyny; zapewne siedzą w drugim końcu wagonu. Lecz słyhać je wcale wyraźnie; i Gracz słyha, chcąc nie chcąc, to znaczy mimo wszystko już chcąc.

To pielęgniarki - stażystki bądź uczennice. Co chwila się śmieją z jakichś z nagle przypomnianych

komizmów ich pracy/nauki - ale co jest pomiędzy tym śmiechem: porażająca szczerłość. Słyszał: - A pamiętasz tego dziada? A ta wariatka, co wyrywała sobie wenflon? - Słyszał: - A ten obrzydliwy grubas, któremu pięć razy zakładałam cewnik? Jezu, te staruszki z wewnętrznego, no coś okropnego...

To oczywiście, że nic innego nie mogą odczuwać, są ludźmi, są zwykłymi ludźmi. A jednak: mały szok i lód na sercu. Każdy bywa pacjentem; każdy wierzy - chce wierzyć, musi wierzyć - że pielęgniarki właśnie zwykłymi ludźmi nie są, że ich nie zraża choroba, brud, słabość i upodlenie, że obrzydzenie nie ma do nich dostępu. Przyglądasz się i na twarzach tylko jasne uśmiechy, albo grymasy wiecznego zaaferowania, albo pospolite zmęczenie - nigdy ani śladu pogardy. Ale to nie znaczy, że ona się w nich nie kumuluje. Dopiero po pracy, we własnym gronie, gdy wracają do domu późnym pociągiem...

Wstał i przeszedł do sąsiedniego wagonu, równie pustego. Ledwo postawił stopę za rozklekotanym przegubem pociągu, tu też doszedł go szept-śmiech dziewczęcy. Stojąc, widział czubki ich głów, pochylonych ku sobie za metalowym zwieńczeniem żółtego plastiku oparcia. Klątwa, pomyślał, i zrezygnowany usiadł za ich plecami.

Podśluuchiwał, musiał, pielęgniarki go złamały. Stuk-tuk-tukk - a ponad hałasem: zwierzenia miłosne. Spowiadała się jedna drugiej. Że nie ma odwagi. Że nie wie, jak podejść. Że to naprawdę. Że śni o nim. Chichot koleżanki. Tamta też odpowiada śmiechem. Ale nie żartuje. Płacząc się i ostentacyjnie naigrywając z samej siebie, opowiada w rwanych zdaniach historię idiotycznego zauroczenia. Koleżanka wyzywa ją od ostatnich romantyczek. Znowu chichoczą.

Gracz w milczeniu i bezruchu poci się zimnym potem, w suchym gardle staje mu gęsta ślina - bo już z tych wszystkich podsłuchanych szczegółów wie bez żadnej wątpliwości, wie, wie, iż to o nim mowa, iż to on jest obiektem uczucia zwierającej się. Wsłuchuje się w jej głos i w końcu, prawie dygocząc, pochyła się i zerka wstecz na odbicie w czarnym lustrze szyby. To ona. Jej profil. Jej włosy, jeszcze czarniejsze od zaokiennej nocy. Koleżanka mówi do niej „Klara”. Koleżanka jest pryszczatą brzydulą. Gracz szybko się cofa.

Kuli się teraz na twardym siedzeniu, z głową opuszczoną między kolana, oddycha szybko i głęboko, otwartymi szeroko ustami, żeby one go nie usłyszały; trzęsą się dłonie, zimne, trupioblade, krew przewala się grzmiącymi wodospadami wewnątrz uszu, podnoszą się do przelyku kwasy żołądkowe.

Pociąg skręca, zwalnia, w ciemnościach mokre luno światła, to już, to tutaj, trzeba wysiąść - ale przecież ona - Klara - też wysiądzie; zobaczy go, co robić, kurwa mać, skacze do drzwi i, zgięty w pół, przebiega przez przedział z pielęgniarkami, przebiega przez cały wagon, drugi, trzeci, do końca składu. I ledwo ten się zatrzymuje, Gracz zeskakuje na peron, po czym na złamanie karku pędzi do przejścia podziemnego.

Tej kwietniowej nocy powróciła dziecięca pewność. Jaskrawość doświadczonego objawienia wgniatała Gracza w ziemię. Z trudem prostował kark. Nie mógł zasnąć. Wyciągnął w ciemności rękę. Palce - kilometr; ściany - o cale. Jak zagrać? Jak zagrać? Roztrząsał po kolei różne posunięcia. Właściwie każde pozostawiało go bezbronnym wobec potencjalnej kontry. Wydawało się, że nie ma wyjścia; cokolwiek uczyni, wzór może się zwinąć i wyrzucić go na drugą stronę. To nie szachy, niektórych zmiennych nie da się rozłożyć, musi zaakceptować ryzyko, ostrożność służy tu jedynie minimalizacji szkód; zresztą na zmienne niezależne i tak nie posiada wpływu, a części z nich w ogóle dotąd nie rozpoznaje, zdawał sobie z tego sprawę.

Tydzień później natknął się na nią pod kioskiem; wracała już z gazetami.

- Klara! - zawołał.

Obejrzała się.

Podszedł.

- Podśluchałem was, słyszałem, co o mnie mówiłaś, wtedy, w pociągu, pamiętasz, w zeszłym tygodniu - powiedział na jednym wydechu, patrząc jej prosto w oczy. - Mogę dotknąć twoich włosów?

- Cco...? A weź ty się...

- Przepraszam.

Ale za co przeprosił: nie odwrócił się, nie odszedł. Wyciągnął powoli ramię, położył dłoń na jej oczach, musiała opuścić powieki. Przycisnął je delikatnie palcami, jej gorący oddech uderzał go teraz w wewnętrzną stronę nadgarstka; nie odsunęła się, nie drgnęła, nie uniosła rąk. Był zimny ranek i widział parę tego oddechu. Stali na rogu alejki, pod siatką szkolnego boiska, z lewej mieli nagie drzewo. Ona była niższa o pół głowy, wyciągnięta na wprost ręka Gracza zakrywała górną część jej twarzy. Mimowolnie pochyliła się lekko i napała na jego dłoń. Ustaliła się równowaga mas: chociażby chciał, nie potrafiłby już cofnąć ręki; jej zaś ręka - prawa, opuszczona wzdłuż ciała - coraz mocniej zaciskała się na gazetach, mnąc je z głośnym trzaskiem twardego papieru. Nic nie widziała - mogła tylko odczuwać jego obecność, strasliwą bliskość obcego człowieka, odczuwać ją samą skórą i naciskiem ciepłego ciała na gałki oczne, tak ostentacyjnie bezbronna, bezsłownie zniewolona. A wciąż nie czyniła najmniejszego ruchu, by się od tego dotyku uwolnić, nie przesunęła stóp ni o milimetr. Tylko jej oddech był coraz szybszy, coraz bardziej parzący. Stali pośrodku zimnego osiedla, pod niebem barwy zbuksowanego śniegu. Czy ktoś ich spostrzegł, czy zwrócili czyjąś uwagę - Gracz nie wiedział, nie rozglądał się na boki, patrzył tylko na nią, na jej drżące wargi. Czekał leż. Poczawszy na palcach pierwszą wilgoć, ugiął ramię i przysunął się bliżej; prawie upadła na niego, musiał ją objąć, gazety wylądowały na ziemi. Odjął dłoń, ale nie była w stanie unieść powiek. Pod policzkiem czuł jej włosy. Tulił ją przez warstwy szorstkiego ubrania. Nieregularny oddech przechodził pod jego uchem w urywany szloch. Z niepewności pragnień rodziła się histeria. Obroty, obroty, pomyślał Gracz i podniósł za jej plecami dłoń do włosów, wsunął ją w czarny strumień, dotarł w nim do samej czaszki, rozsunał palce i zacisnął je na lokach tuż przy skórze. Odchylił jej głowę. - Otwórz oczy - szepnął. Zamrugała i spojrzała na niego przez łzy. Piętnaście centymetrów, widział plamki na jej tęczówkach. I tak pół minuty, minuta, haaaaaaaa, nieskończoność. Uśmiechnęła się. Wygrałem, pomyślał.

Zuchwały władca sekretnych synergii, siedemnastoletni mistyk pragnień nieziszczonych... jakże się potem wstydził swego samozadowolenia. Klara mu wyznała, że było to niczym uderzenie fali gorąca pod dotykiem bioenergoterapeuty. Kolana się pod nią uginały i tchu jej brakowało, i traciła poczucie równowagi. Gracz zdjęła pycha. Może rzeczywiście? Kto wie.

Powinien był znać - on najlepiej - cenę spełnienia. Przecież dostrzegał kątem oka tę ciemną płachtę, aksamitny płaszcz bestii, zawsze w ruchu, mnący się w zielonkawej fałdy. Czasami widać go wyraźniej: w wieczornym refleksie na szybie wystawowej, w benzynowej kałuży, w oglądanym z ukosa ekranie telewizyjnym, w oku konającego. Palec Drugiego Gracza; a może kolor szachownicy. Czuł to przecież; zawsze czuł. Powinien się był spodziewać.

Potem, na drzwiach swego gabinetu, zawiesi tabliczkę z Trzema Prawami:

**1: Świat jest niesprawiedliwy.**

**2: Świat jest niesprawiedliwy, nawet gdy wydaje ci się inaczej.**

**3: Wszelka dostrzeżona sprawiedliwość stanowi w istocie przejaw niesprawiedliwości wyższego rzędu.**

Twarz Klary falsyfikowała je w jego oczach wszystkie razem i każde z osobna. Dotyk jej rzes na skórze dowodził wiecznotrwałości każdej chwili; nic we wszechświecie nie ginie. Jej śmiech - otwarty, przeponowy śmiech Klary - wynagradzał Graczowi wszystkie strachy, przeszłe i przyszłe. Powolne przebudzenie w jej ciepłych objęciach usprawiedliwiało całe życie, włącznie z tą stroną śmierci, która do niego przynależy.

Raz jeden dane mu było tak się obudzić i pomyślał wtedy, niezdarnie zagarniając w dłoń czarne loki: szczęście.

Klarę z kolei obudził jego szloch i drżenie łóżka. Rozespana, obróciła głowę. Nocowali w mieszkaniu

jej ciotki, która leżała w szpitalu na nerki; za uchylonym oknem powietrze trzeszczało od kolorów porannego słońca, wszystkie ptaki mają śpiewały i ćwierkały w jaskrawej zieleni starych drzew międzygrobnych (ciotka mieszkała przy cmentarzu). Poza tym wielka cisza.

- No?

Spojrzał na nią, mrugając. Uśmiechnęła się, taki był odruch między nimi. Wyciągnął rękę i przesunął opuszką palca po jej dolnej wardze. Klara przez koc zahaczyła go za udo prawą nogą, ale się wywinął.

- Będę musiał być bardzo ostrożny - rzekł niepewnie. - Może gdybyśmy się już nigdy więcej nie spotkali...

- A, ty znowu swoje. - Oczywiście wiedziała: pierwszą z szeregu jego nieostrożności było opowiadanie jej o Grze.

- Może gdybym jakoś zrównoważył...

- To jest paranoja, zdajesz sobie sprawę? - Ziewnęła. - Istnieje chyba nawet taka jednostka chorobowa: mania prześladowcza połączona z megalomanią i nerwicą... Zracjonalizowana forma anhedonii.

- Skąd ty znasz takie słowa?

- Z filmów Woody'ego Allena. Jak byłeś mały, pewnie uciekałeś od cukierków i zajadałeś się szpinakiem, co? Mam rację? - Trąciła go łokciem.

- Nic nie poradzę, gdy ktoś jest zupełnie ślepy - westchnął. - Ale nie boję się o siebie; to przecież dotyczy każdego.

Poszukał chusteczki, wydmuchał nos. Potem położył się na boku przy Klarze, twarz w twarz, tak że miał ją na ciepły szept ćwiercią oddechu, taka była ich mudra prawdy.

- Po prostu starasz się wyprzedzić strach. - Pocałowała go. - Jeśli się wystarczająco długo czeka, przypadek potwierdzi każdą paranoję.

Zaprzeciżył drobnym ruchem oczu.

- Ty po prostu nie wyczuwasz tego głębszego wzorca. Prekursorów teorii chaosu też miano za szaleńców.

- A twórz sobie teorie jakie chcesz, tylko mi tu nie wyskakuj z jakąś separacją.

- Usiłuję zapanować...

- Nad kim? Patrz na mnie.

- Nad sobą. Nad swoim losem. I nad twoim losem.

- W jaki sposób? Samodzielnie skazując się na najgorsze, żeby potem móc sobie wmówić, że to był twój własny wybór?

- Ciii. Chcę tylko zminimalizować szkody. No, już, zapomnij, nieważne.

- Przysięgnij.

- Co? - Tu go zaskoczyła; nigdy dotąd nie żądała żadnych przysiąg, nie wymuszała obietnic i nie pytała o przyszłość dalszą niż następny tydzień.

- Przysięgnij, że nie posuniesz się w tej swojej grze do żadnego szaleństwa, że przynajmniej mnie wcześniej zapytasz. No. Już.

- Ale co...

- No i gdzie patrzysz? - Trzepnęła go w ucho. - Roją ci się jakieś prewencyjne masochizmy, myślisz, że nie widzę?

- Boże, Klara, to nie jest takie proste...

- Przysięgaj, przysięgaj.

- Nie.

- Co?

- Nie. Sorry. Nie obiecuję.

Spojrzenie jej szeroko otwartych oczu, tak jasnych, tak poważnych, wiązało twarz Gracza w formie nie dopuszczającej żadnych sztucznych grymasów, ochronnych min. Klara przypatrywała mu się w zamyśleniu. Pośliniła kciuk i, oparłszy ciężar dłoni na jego skroni, przyglądała mu lewą brew. Pocałował ją w przedramię. Dmuchnęła mu w rzęsy, opuścił powieki, tak przyjmował jej oddech.

- Czego mogę się spodziewać? - spytała.

(Wszystko to były szept i półszept).

- Nieszczęścia.

W istocie to on spodziewał się nieszczęścia, i to wręcz czegoś na miarę apokaliptycznej hekatomb, zagłady całego swego świata. Precedensy były mu doskonale znane - dociekał był przeróżnych wzorców, po kolei testując algorytmy. *Po co się daje życie strapionym, istnienie złamanym na duchu, co śmierci czekają na próżno, szukają jej bardziej niż skarbu w roli; cieszą się, skaczą z radości, weselą się, że doszli do grobu. Człowiek swej drogi jest nieświadomy, Bóg sam ją przed nim zamyka. Oraz: Płacz stał mi się pożywieniem, jęki moje płyną jak woda, bo spotkało mnie, czegom się lękał, bałem się, a jednak to przyszło. Nie znam spokoju ni ciszy, nim spocznę, już wrzawa przychodzi.*

Bał się, a jednak przyszło! Bał się, a jednak przyszło!

*On czyni cuda niezbadane, nikt nie zliczy Jego dziwów. Nie widzę Go, chociaż przechodzi; mijam, a dostrzec nie mogę. Kto Mu zabroni, choć zniszczy? Kto zdoła powiedzieć: „Co robisz?”. Jakże ja zdołam z Nim mówić? O siłę chodzi? To mocarz. O sąd? Kto da mi świadectwo? On i prawym zamknie usta, mam słuszność, a winnym mnie uzna. Na jedno więc wychodzi, prawego ze złym razem zniszczy. Jeśli nie On - to kto właściwie?*

Ale czy Graczowi szło o sprawiedliwość? On inaczej czytał to słowo, z innej perspektywy. Tak mianowicie je tłumaczył: „reguły gry”.

*Jest myśl, co mnie tak przeraża, że drzę na całym ciele: Czemuż to żyją grzesznicy? Wiekowi są i potężni. (Gdyby Stalin umarł niemowlęciem, też poszedłby do nieba? Gdzie konkretnie przebiega linia realizacji zysków?) Jeden umiera szczęśliwy, ze wszech miar bezpieczny, beztroski. Drugi zaś kończy w bólu i szczęścia nigdy nie zaznał. A w ziemi leżą razem, obydwu pokrywa robactwo.*

•

Tak zatem po pół roku przyznawał już nawet przed samym sobą, iż jest to miłość; wobec tego rozpoczął Grę w jej obronie.

Na początek powiedział Klarze, że jej nie kocha, nigdy nie kochał. Nie dało to rezultatu, nazbyt dobrze go przez ten czas poznała: wiedziała, że to Gra.

Z tego sprzeciwu samej ofiary przed jej ratunkiem zrodziło się w Graczu przecucie kształtu zastawionej nań pułapki. (Bez wysiłku już postrzegał głębokie symetrie losu). Tak, jak to widział, miał teraz trzy wyjścia: równomiernie rozłożyć zagrożenie (w praktyce rzecz prawie niewykonalna, podświadomość go zdradzi, był pewien); faktycznie odwrócić wektory (pamiętał i bał się tego, to niebezpieczna operacja na żywej psychice, nie do przewidzenia, co ostatecznie da na wyjściu, najprawdopodobniej nie będzie potem w stanie zatrzymać procesu); lub sprowokować przedwczesne uderzenie, by dopełnić symetrię mniejszym kosztem.

Klara jednak - jasne jej spojrzenia, na które nie był w stanie się zamknąć - mimowolnie powodowała ciągle opóźnienia: wahał się, cofał, po części nawet wątpił, tak, naprawdę wątpił w Grę, zwłaszcza w Klary obecności, pod jej dotykiem, głosem i wzrokiem, tracił wówczas rozeznanie w procedurach perwersji wszechświata i rozbijał skomplikowane wzorce, do których z takim trudem był doszedł, rozbijał je z powrotem w chaotyczny, kolorowy pył zdarzeń i myśli. Opuszczała go pewność ciągłości. Co jednak pozostawało zawsze: goryczny lęk przed nieuniknioną zemstą.

Tymczasem rozpuszczał się w przejrzystej zawieszynie jej słów i zmilczeń.

Przeorientowanie było niemal zupełne; nawet gdy sam, gdy z dala od niej - Klara przenikała jego myśli i motywy. I wiedział - widział! - że z nią jest tak samo. Jakimś cudem pominęli we wzajemnej fascynacji etap szczeniackich kłamstw i kłamstewek, ten obowiązkowy rytuał budowania fałszywych obrazów własnej osoby. Być może przeważał najpierwszy dotyk jego dłoni, jej słowa podsłuchane w pociągu.

Przełamany został w ten sposób wielki paradoks zaufania: by zdecydować się na zdradzenie innemu człowiekowi swej intymności, samemu musisz już znać jego nagą twarz. Wedle Gracza właśnie po to ludzie się upijają.

Ale tym razem wszystko szło inaczej. Widział ją zagonioną, złą, zazdrosną, brudną, spoconą, głupią, wulgarną, widział ją prawdziwą i naturalną; i wciąż widział Klarę.

Są to akceptacje zakazane dla ich wieku, czas na nie przychodzi zazwyczaj znacznie później. Ale czas Gracza zawsze biegł innym torem. Owa niekompatybilność umysłu i doświadczenia tak czy owak czyniła go outsiderem wśród rówieśników. (Nawet będąc dzieckiem, nie myślał jak dziecko - co zatem zyskiwał dojrzewając? co w sobie odmieniał? do jakiego kształtu dorastał?).

Wydawało się, że w osobie Klary znalazł nareszcie kogoś o identycznym wyczuciu groteskowości otaczającego go świata. Potwierdzały to niezliczone drobiazgi.

Tak samo jak on, nigdy nie dawała napiwków. Spytał ją wprost, ponieważ tak samo jak on irytowała się okrężnymi podchodami. Okazało się, że to z powodu identycznego skrępowania, nie byłaby bowiem w stanie się zdobyć, nigdy, przenigdy, ani na napiwek, ani na jałmużnę, ani na jakkolwiek dystygowaną i bezosobową filantropię: miała to za najpodlejszą formę upokorzenia obdarowywanego, spaliłaby się ze wstydu, darując pieniądze.

Tak samo jak on, podczas rozmów telefonicznych ograniczała się do monosylab i zdań możliwie najtreściwszych: rozmowa przez telefon nawet z najbliższej znaną osobą, gdy nie widziała jej twarzy i nie czytała jej reakcji, miała w sobie dla Klary (absurd i paradoks, ale tak czuła) coś z publicznego striptizu.

Tak samo jak on, niewielką wagę przywiązywała do wyglądu i wywieranego na obcych wrażenia, co u niej, z uwagi na płęć, tym mocniej uderzało; zazwyczaj jedynymi kryteriami selekcji ubioru były wygoda i użyteczność.

Tak samo jak on, starannie omijała wszelkie banalizmy języka. Krzywili się wraz oboje, słysząc, jak ktoś sypie poobcieranymi do nagiego plastiku modułami zdaniowymi. W lot wyczuwali wzajem w swych wypowiedziach cudzysłowy i ukryte w dłuższym i krótszym milczeniu ironiczne emoticony.

Tak samo jak on, wrażliwa była na nastrój chwili: przeszedłszy z jasnego wnętrza na szarą ulicę pod brudnymi chmurami, opuszczała ramiona i zwalniała kroku.

Wszystko to sprawiało, iż pierwotne zauroczenie samym jej wyglądem zdawało mu się tym bardziej niemożliwe do ujęcia w kategorii przypadku (a w ogóle rzadko tak cokolwiek ujmował). Zbyt wielka zbieżność, zbyt nieprawdopodobna synchronizacja. Przecież nie zakochiwał się co miesiąc.

W tygodniu, w którym upadł rząd Olszewskiego, dowiedział się, że Klara wyjeżdża wraz z rodziną do Kanady; po prawdzie przeprowadza się tam, na co najmniej pięć lat, matka podpisała kontrakt, klamka zapadła.

Gracz zareagował ostrożnym niedowierzaniem. Węszył podstęp. Wyraźnie widział, iż jest to zbyt słaba odpowiedź; to jedynie lekki lewy prosty, ciężki hak spadnie z zupełnie innej strony.

Teraz szybko próbował ratować, co się da. Kupił od ewidentnie hifitycznego narkomana starą strzykawkę z herą i dał sobie w żyłę.

Nie był przyzwyczajony i dawka ścięła go na trzy dni. Wymioty, gorączka, pot, chłód i upał, jak daleko ręka, jak blisko, bardzo długo spał, śniły mu się nieskończone, ciemne korytarze.

Wyszedł z nich w monochromatyczny poranek i zobaczył nad sobą ojca nerwowo palącego papierosa.

Zobaczył jego twarz; natychmiast zrozumiał, że przegrał.

- Cco się sta-a...? - wyjąkał.

- Ta twoja kurwa złamała matce kręgosłup.

Gracz zaczął się głośno śmiać i ojciec trzasnął go w twarz. W zdenerwowaniu walnął z całej siły i zamkniętą dłonią: sobie zgruchotał palec, synowi nos. Gracz stracił przytomność. (Zawsze był zdania, że Irving w „Świecie według Garpa” miał słuszne intuicje i że zdołał dotknąć tam kilku podrzędnych zasad rządzących Grą).

W rekonstrukcji cała zagrywka przedstawiała się następująco:

Klara przyszła do Gracza, gdy znajdował się on już głęboko w ciemnych korytarzach. Spanikowana matka, która zawsze kojarzyła po prostych Euklidesowych, zwyzywała Klarę od narkomanek i wypchnęła za drzwi, na klatkę. Klara, domyślając się, że Gracz zaczął właśnie realizować jakąś samobójczą strategię, koniecznie chciała się z nim zobaczyć: raz-dwa-trzy i wybuchła za progiem szybka szamotanina. Matka, nie mając na nogach butów, jeno jakieś domowe kapcie, poślizgnęła się na naniesionym tu błocie i tak fatalnie upadła, że trzasnęły jej dwa kręgi karku. Całkowity paraliż poniżej głowy. Klara w depresji. Wszystkich przesłuchuje policja. Rodzina Klary nie chce Gracza widzieć na oczy.

Rechotał bezgłośnie aż do bólu przepony.

Nie zobaczył się z Klarą przed jej wyjazdem. Jeszcze przez dłuższy czas powinien się badać na obecność antyciał i nie chciał ryzykować dalszego przechyłania szal, życie stało teraz znacznie wyżej.

Raz tylko rozmawiali przez telefon i wyraźnie wówczas usłyszał w jej głosie, że klęska jest absolutna, obcy mówił do obcego, kłamliwe odmrknięcia z obu stron.

Jedna perfidna intryga odebrała mu matkę, ojca i Klarę. A przecież tylko siebie mógł winić: od początku czuł napięcia podskórne i jasno widział, że wchodzi na pole minowe. Był świadomy, że Gra okrutnie karze butnych zuchwalców. A on - on co wobec tego uczynił? Zlekceważył intuicję, dał się mimo wszystko przekonać pseudoracjonalistycznym wywodom Klary i jej czystemu spojrzeniu.

Nigdy więcej nie zwątpię, mówił sobie teraz; nigdy więcej. Czy dotrzyma słowa? W każdym razie gniewne zarzeczenia przywróciły mu częściowo pewność siebie.

- Nieszczęścia, jakie na nas spadają - powiedział mu wuj, który pośredniczył teraz między Graczem a jego ojcem, ten ostatni bowiem w ogóle nie odzywał się do syna - nie są karą, ale często bywają próbą, a w każdym razie okazją dla ujawnienia się lepszych stron ludzkiej natury.

- Ófno - warknął Gracz przez zaczopowany nos.

Wuj występował w jego życiu w charakterze *advocatus Dei*, wyskakiwał spoza fabuły, by wygłosić metafizyczne didaskalia, a rzeczą Gracza było zinterpretować niejednoznaczne słowa. Takim go pamiętał i taki wuj był - jako księdza całe mile dzieliły go od owych rumianych wiejskich proboszczów, co to z podwiniętymi rękawami sutanny pomagają w nocnych porodach krów.

- Zakochałeś się w niej? To zrozumiałe. Nic tu nie jest niczyją winą. Wiem, że masz tendencję do przypisywania każdemu wydarzeniu symbolicznego znaczenia, ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, że sądzić, iż wszystko dzieje się dla ciebie, przez ciebie i z twojego powodu - to lekka przesada. Prawdę mówiąc, jest to choroba psychiczna.

- Ja jedziałem, sze to szę stanie.

- Dlaczego wzięłeś ten narkotyk?

- Właśnie dlatego.

Wuj pokręcił głową.

- Znowu usiłowałeś przekupić Pana Boga?

- Widzisz, nie udało szę - skrzywił się szyderczo Gracz.

- A ta dziewczyna? Klara. Co z nią?

- Szegrałem.

- Rozumiem, że musi wyjechać. Ale kiedyś wróci. Kiedyś się znowu zobaczycie. Nie będziesz czekał? Już jej nie kochasz? Nic tu nie jest niczyją winą. To właśnie u najbliższych powinieneś szukać pocieszenia, tylko oni naprawdę cię rozumieją. - Wuj podrapał się w nos, spojrzął za okno. - Co teraz zrobisz?

- Bede ozdrosniejszy.

•

Co zaskakujące: rzeczywiście stał się ostrożniejszy. Nie z powodu przyrzeczenia (zazwyczaj szybko zapominał, co komu powiedział i obiecał, nawet - zwłaszcza - gdy przyrzekał sobie), ale ponieważ cała ta historia z pierwszą miłością wżarła się weń trwale i zahartowała duszę - ostrożność weszła mu w naturę.

Gdyby był to film, w drugi akt wszedłby zatem Gracz jako zgorzkniały introwertyk, panicznie uciekający od ludzi i swoich marzeń. W życiu jednak odbywa się to na sposoby trudniejsze do pochwylenia przez kamerę. Ot, uśmiechał się nieco bardziej cynicznie, częściej używał cudzysłówów i pilniej obserwował samego siebie, analizując swe czyny i słowa, przeszłe, planowane i te właśnie odgrywane.

O Klarze już prawie zapomniał. Nigdy nie stawiaj w tej Grze wysoko. Powtarzał to sobie budzony z nocnych koszmarów przez Haendlowską ciszę w duszy. W ciemności pokój był tak wielki. Macał za ścianami. Są, są. Uspokajająco zimne.

Teraz szeptał w poduszkę:

- Jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy.

I o świcie był.

*Jacek Dukaj*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)